

Z PIONIERSKICH LAT

FRAGMENTY WSPOMNIEŃ ROBOTNIKÓW WROCŁAWSKICH Z PIERWSZYCH CHWIL PO WYZWOLENIU MIASTA

OD REDAKCJI

Fragmenty niniejsze — których druk z przyczyn niezależnych od Redakcji opóźnił się — są pokłosiem konkursu rozpisanego przez Towarzystwo Miłośników Historii we Wrocławiu jeszcze w r. 1948. Drukujemy je jako materiał źródłowy tchnący świeżością wspomnień z lat, z których zachowało się bardzo mało materiału. Redakcja jest równocześnie świadoma, że nie dają one pełni życia owych lat, a nawet dają być może obraz nieco jednostronny. Nie daje tym bardziej odzwierciedlenia przemian, którym życie i świadomość klasy robotniczej naszego miasta uległy po dziś dzień.

WOJCIECH KANIA

PAMIĘTNIK Z LAT 1945 — 8

Postanowienie wyjazdu na Ziemie Odzyskane powzięłem w marcu 1945 r., gdy opuściwszy Lwów, przyjechałem do Krakowa i zamieszkałem u rodziny przy ul. Lubicz 12. Mając dużo wolnego czasu, wysiadywałem na ławce Plant Krakowskich, wysłuchując podawanych przez głośnik radiowy wiadomości o zajmowaniu przez Wojska Radzieckie i Polskie miejscowości położonych na ziemiach śląskich, o oblężeniu przez Czerwoną Armię Wrocławia, o bliskim rozgromieniu wojsk niemieckich, a tym samym zajęciu Berlina, co oznaczało, że w krótkim czasie nastąpi zakończenie wojny.

Dnia 14. marca 1945 r. prasa krakowska zamieściła wiadomość, że Rząd R. P. zamianował prezydentem miasta Wrocławia dra Bolesława Drobnera. We Wrocławiu wówczas jeszcze toczyły się ciężkie walki. Prezydent rozpoczął urzędowanie stwarzając Zarząd miasta Wrocławia z tymczasową siedzibą w Krakowie przy Placu Kleparskim 5. Tam zaczęto organizować pierwszą grupę ochotników na wyjazd do Wrocławia. Zabrawszy z sobą kilkana-

ście osób dnia 13. kwietnia 1945 r. wyjechał z Krakowa, ale po zbadaniu sytuacji nie mogąc się jeszcze dostać do Wrocławia, powrócił z powrotem. W międzyczasie Zarząd miasta Wrocławia rozpoczął rejestrację osób zdecydowanych na wyjazd i na osiedlenie się we Wrocławiu.

Niezależnie od grup Zarządu Miejskiego rektor b. Uniwersytetu Lwowskiego prof. dr Stanisław Kulczyński montował t. zw. grupę naukową również w Krakowie przy Alei Mickiewicza 30, w gmachu Biblioteki Jagiellońskiej, rejestrując poza gronem profesorskim personel administracyjny oraz studentów. Zadaniem tej grupy było po przybyciu do Wrocławia objąć i zabezpieczyć zabudowania Uniwersytetu i Politechniki oraz znajdujące się w nich urządzenia, pomoce naukowe i biblioteki.

Zarejestrowałem się na stałe osiedlenie we Wrocławiu, a wysłuchując dalej głośnika radiowego, czekałem na wiadomość o wyzwoleniu tego miasta przez Czerwoną Armię i Wojsko Polskie spod hordy hitlerowskiej.

Dnia 8-go maja 1945 r. głośnik radiowy podał radosną wiadomość, że dnia 7 maja 1945 r. w godzinach rannych miasto-twierdza Wrocław zostało przejęte przez Armię Czerwoną i Wojsko Polskie.

Z początkiem czerwca 1945 r. przyjechał z Wrocławia do Krakowa w imieniu pełnomocnika Ministra Oświaty dr Władysław Bartyński celem skierowania młodzieży akademickiej znajdującej się na terenie miasta Krakowa do pełnienia straży ochronnej przy obiektach Uniwersytetu i Politechniki we Wrocławiu. Dr Bartyński w sposób przyjacielski przedstawił nam stosunki istniejące we Wrocławiu i zapewnił nas, że po przyjeździe do Wrocławia otrzymamy tymczasowe pomieszczenie w zabudowaniu Klinik Uniwersyteckich zaznaczając, że po objęciu pracy w instytucjach uniwersyteckich będziemy korzystać ze stołówki uniwersyteckiej oraz z przydziałów, należących się grupie naukowo-kulturalnej.

Po odjeździe dra Bartyńskiego, zawiadomiłem listownie syna pozostającego jeszcze we Lwowie o naszym postanowieniu wyjazdu zaznaczając, że oczekujemy go już we Wrocławiu. Po załatwieniu formalności w P. U. R.-ze zabierając ze sobą najniezbędniejsze rzeczy pewnego pięknego wieczora, gdy słońce kryło się za kopiec Kościuszki, a liście drzew na Plantach Krakowskich układały się do snu, zaś głośnik radiowy zapowiadał o dalszych wspaniałych zwycięstwach Czerwonej Armii i Wojska Polskiego, miejsce na ławce pod drzewem zajmowane przeze mnie zostało wolne — ja,

córka moja i zięć wyruszyliśmy z Krakowa do pracy na Ziemi Odzyskane.

Przez noc z Krakowa dojechalśmy do Oleśnicy. Następnego dnia około godziny 11-tej przed południem wsiedliśmy na stacji Oleśnica do pociągu, który miał nas przywieźć do Wrocławia. Przez okno przedziału obserwowałem piękne okolice, bogate w zielen przedmieścia Wrocławia, a szczególnie piękne położenie przedmieścia Karłowice, które tygodnik polski „Nasz Wrocław“ nazwał „kolonią ogrodów“. Pociąg przesunął się żółtym chodem po prowizorycznie naprawionym moście i wreszcie wjechaliśmy na stację zwaną wówczas „Wrocław-Odra“.

Słońce prażyło swymi promieniami z największym nasileniem, gdy znaleźliśmy się na placu przed dworcem. Okazało się, że te niezbędne rzeczy, które wzięliśmy ze sobą były tak ciężkie, że niemożliwością było o własnych siłach przenieść je na teren Klinik Uniwersyteckich, oddalonych o kilka kilometrów od dworca „Odra“. O jakiegokolwiek pomocy ludzkiej nie było mowy, gdyż oprócz kilku starych Niemek żywej duszy ludzkiej nie można było zobaczyć. Cały ten majątek pozostawał więc pod moją opieką, zaś córka z zięciem poszli szukać jakiegoś wyjścia z tej przykrew sytuacji. Po upływie dłużącego się czasu, zobaczyłem córkę, ciągnącą z sobą 4-ro kołowy wózek średnich rozmiarów, zakupiony u przygodnie spotkanej Niemki za 260 zł. Sytuacja została uratowana. Załadowaliśmy teraz wszystkie bagaże, córka z zięciem ciągnęli wózek, ja zaś z parasolem na ręce od czasu do czasu popychałem go. Z tą chińską karawaną, błądząc po nieznanym ulicach Wrocławia, o godzinie 7-ej wieczorem wjechaliśmy w zabudowania Klinik Uniwersyteckich, a po pewnym czasie odnaleźliśmy dra Bartyńskiego, który dotrzymując przyrzeczenia danego nam w Krakowie polecił przydzielić nam pokój w gmachu Kliniki „Mirus“. Tam ob. Kawecka z prawdziwie polską gościnnością przyjęła nas, oddając nam obszerny pokój z balkonem na I piętrze, uzupełniając go czasowo brakującymi rzeczami.

Z drogi przebytej z dworca „Odra“ do Klinik Uniwersyteckich pozostało mi wrażenie raczej przykre. Nieskończone ruiny, cuchnąca spalenizna i odór, niezliczona ilość wielkich much, zachmurzone twarze rzadko napotykanym Niemców, a najważniejsze — ta pustka bezludnych ulic...

Mimo to zmorzył mnie twardy sen. Następnego dnia po spóźnieniu śniadania w stołówce zięć poszedł do pracy w ambulatorium

Kliniki Wewnętrznej, ja zaś poszedłem szukać ulicy Ogrodowej, gdzie pod numerem 19 miała się mieścić drukarnia, przydzielona przez Centralny Zarząd Państwowych Zakładów Graficznych, Uniwersytetowi i Politechnice. I tak rozpocząłem pracę we Wrocławiu. Według wskazań idąc z zabudowań Klinik brzegiem starej Odry, przez Plac Grunwaldzki, szedłem obecną ulicą Nowowiejską, Marszałka Stalina, przez Most Uniwersytecki, ul. Kuźniczą, przez Rynek, ul. Stalingradzką no i po 2 godzinach straconego czasu wszedłem na ul. gen. Świerczewskiego. Innej drogi nie znałem, zaś te ulice były stosunkowo najmożliwsze do przebycia.

Po odnalezieniu Nr 19 wszedłem w szeroką bramę, a gdy przeszedłem kilkanaście kroków, zobaczyłem w oficynach 3-piętrowy budynek, w którym mieściła się drukarnia. Do budynku tego prowadziła po gruzach wąska, mało wydeptana ścieżeczka, a po obu jej stronach sterczały chwiejące się szkielety 4-ro piętrowych murów, grożące w każdej chwili zawaleniem. Pomyślałem: iść czy nie iść. Zawała się te piramidy, czy nie zawała. Po chwili namysłu widząc, że mury się nie wała, szybkim krokiem pobiegłem zagrożoną ścieżeczką i za chwilę znalazłem się u celu. Po otrzymaniu potrzebnych informacji tym samym niebezpiecznym przejściem wydostałem się znowu na ul. Świerczewskiego i udałem się do gmachu obecnej Biblioteki Uniwersyteckiej przy ulicy Karola Szajnochy, gdzie mieściły się wówczas biura Rektoratu. Zgłosiłem się u sekretarza ob. Jaremy, od którego otrzymałem tymczasowe poświadczenie pracy oraz białoczerwoną opaskę, na której widniał napis „Pełnomocnik Ministra Oświaty Wrocław“. Już jako pracownik Grupy Naukowo-Kulturalnej m. Wrocławia, wracałem do Klinik Uniwersyteckich tymi samymi ulicami co poprzednio. Patrzyłem na te kompleksy zabudowań, na te zniszczone przepiękne pałace, na te zniszczone średniowieczne gotyckie budowle świątyń, na te zniszczone stylowe budynki muzealne, na te zasypane gruzami ulice, na to miasto ruin, ale równocześnie patrzyłem w myśli na wizję pięknego polskiego miasta, patrzyłem na przyszłe miasto-ogród, obfitujące w wielkie zasoby zieleni, które w niedługim czasie zdołać będą nasz polski Wrocław.

Zadowolony wszedłem do stołówki na oczekujący mnie obiad. Opaska na lewej ręce świadczyła, że ten posiłek nie będzie już grzecznościowy, ale należnym mi się z racji przynależności do tej grupy pracowników, którzy nie bacząc na żadne trudności przybyli tutaj, by zrobić tę najtrudniejszą robotę dla świetnego przyszłego

polskiego Wrocławia. Gorzej było ze śniadaniem, względnie z tą „brunetką“ (czarną kawą), z którą mój żołądek nie chciał się pogodzić. Dzięki jednak Zarządowi Klinik otrzymałem ze względu na mój wiek (liczyłem wówczas 65 lat) $\frac{1}{2}$ litra mleka dziennie, zaś resztą moich kłopotów żywnościowych zajęła się córka, a mając więcej wolnego czasu, rozpoczęła również starania o wyszukanie i przydział mieszkania dla nas.

Ja tymczasem tkwiłem w moim warsztacie pracy. W zabudowaniach drukarni zajętych nas było 4 Polaków i 36 Niemców. Dnia 1 sierpnia zrobiliśmy podział pracy:

Ob. Zimny Edward objął stanowisko naczelnego i załatwiał wszelkie sprawy poza terenem drukarni. Ja przyjąłem na siebie obowiązek przyprowadzenia do stanu używalności zecerni, maszynowni, stereotypii i introligatorni. Ob. Kozak Marian objął buchalterię oraz bardzo obszerny magazyn papieru, zaś ob. Biliński M. miał zadanie nadzoru nad budynkiem i znajdującymi się wewnątrz różnymi składami. Komenda Straży Akademickiej przydzieliła nam 2 studentów dla ochrony przed wałęsającymi się dniem i nocą różnego rodzaju osobnikami.

Kuratorem drukarni z ramienia Uniwersytetu i Politechniki był dr Antoni Knot, obecny dyrektor Biblioteki Uniwersyteckiej. Zabudowania, w których mieściła się drukarnia, składały się z dwóch połączonych narożnikiem 3-piętrowych domów, przedstawiały widok odstrasający. Kompletnie zniszczony dach, wiązania dachowe zerwane sterczały lub wisiały, kołysząc się za każdym podmuchem wiatru. Nie było ani jednej szyby, ani ramy w około 200 znajdujących się w budynku oknach. Wewnętrzne drzwi drewniane potrzaskane, zaś żelazne powyginane. Nagromadzona woda deszczowa na strychu, przeciekała do pierwszego piętra, zalewając pomieszczenia drukarni. Również piwnice, w których były kamienie litograficzne oraz całe urządzenie centralnego ogrzewania zalane wodą. Nie było ani światła, ani gazu, ani wody. W takich to opłakanych warunkach rozpoczęliśmy pracę.

Postanowiliśmy przede wszystkim naprawić dach nad budynkiem, gdzie mieściła się zecernia, maszynownia i introligatornia, aby zabezpieczyć je od dalszego zniszczenia oraz wypompować wodę z piwnic i powstrzymać jej dalszy napływ. Następnie rozpoczęliśmy czyszczenie zecerni, w której połamane regały, kaszty, stoły, a wałający się materiał i układy zecerskie przedstawiały jedno wielkie śmietnisko. Wielką trudność sprawiało czyszczenie

maszynowni, gdyż skutkiem nacieku wody pordzewiały pewne części maszyn. W bardzo opłakanym stanie znajdowała się również stereotypia, zasypana gruzem i odłamkami szkła, toteż odczyszczenie jej pozostawiono na czas późniejszy, mniej bowiem była potrzebna od zecerni, maszynowni i introligatorni.

Równocześnie z oczyszczeniem wspomnianych działów pracownicy stolarscy zabijali otwory okienne deskami, aby zabezpieczyć pomieszczenia przed deszczem i wiatrem. Elektromonter badał i naprawiał przewody motorowe i instalacje świetlne, mieliśmy bowiem wiadomość, że wzdłuż ul. Świerczewskiego w krótkim czasie rozpoczną pracownicy Miejskich Zakładów Elektrycznych naprawę przewodów dostarczających siłę elektryczną, bez której to drukarnia nie mogłaby być uruchomiona.

Dnia 6 sierpnia 1945 r. w porze popołudniowej byłem świadkiem tego, co przewidywałem wchodząc pierwszego dnia na teren drukarni. Silniejszy wiatr wiejący od zachodu spowodował zawalenie się wypalonych a stale chwiejących się 4-ro piętrowych szkieletów, zasypując gruzem do wysokości pierwszego piętra przejście prowadzące do zabudowań drukarni. Zostaliśmy „odcięci od ulicy“. Przebiliśmy nie bardzo zresztą gruby mur i otworem wydostaliśmy się na ul. Lelewela, zadowoleni, że siła natury wybawiła nas z kłopotu burzenia tych niebezpiecznych piramid. Następnego dnia zmobilizowaliśmy wszystkie znajdujące się na terenie drukarni siły robocze i rozpoczęliśmy wyczyszczenie nie tylko przejścia, ale i całego placu przed budynkiem drukarni. Zniknęła pamiętna z pierwszych dni wąska wydeptana ścieżeczka, prowadząca przez podwórza. Na jej miejsce zrobiliśmy szeroką przejazdową drogę od ul. Świerczewskiego do zabudowań drukarni oraz odgruzowaliśmy obszerny plac, który obecnie jest używany do postoju pojazdów kołowych.

Odcyszczanie wszystkich działów drukarni postępowало w szybkim tempie. Niemcy bardzo skromni pod wrażeniem poniesionej haniebnej klęski pracowali chętnie, zwłaszcza zawodowi drukarze, toteż miło było popatrzeć jak się napełniały regały pełnymi kasztami, a półki i szuflady materiałem zecerskim. Z maszyn drukarskich zginęła rdza i pył, a części mosiężne zabłysły swoim naturalnym odcieniem. Wyczyszczono zardzewiałe tryby w maszynach naciągnięto nowe pokłady cylindrowe, nałożono nowe ciągniki sznurowe przy odbieraczach, naprawiono samonakładacze, odcyszczono i zremontowano motory i przewody elektryczne.

Wszystko czekało teraz na specjalistów z elektrowni, którzy po bardzo uciążliwej pracy przy przewodach ulicznych mieli złączyć elektryczny drucik przewodu drukarni z drucikiem przewodu głównego, na skutek czego zabłyśnie u nas wreszcie upragniona lampa elektryczna i zaiskrzy motor maszynowy.

Niebawem idąc do pracy ranną porą, zobaczyłem rzeczywiście robotników kopiących rów na chodniku obok bramy frontowej dla wyszukania i naprawy kabla głównego, celem przyłączenia przewodów drukarni do sieci głównej. Już następnego dnia druciki żarówek zaczęły jarzyć się, a po pewnym czasie zabłyśły pięknym, jasnym światłem, sprawiając nam nieopisaną radość. Sprawdziiliśmy motory i puściliśmy w ruch maszyny, a odgłos z walców rozcierających farbę drukarską upajał nas, dając nam tym zapłatę za włożony trud i równocześnie zachęcał do jeszcze intensywniejszej pracy.

Nigdy w życiu w żadne cuda nie wierzyłem, a nawet moi koledzy szkolni mieli zwyczaj przezywać mnie „niedowiarkiem“. Jednak to co zobaczyłem 16 sierpnia 1945 r. wyglądało w ówczesnych warunkach na „cudo“. Po spożyciu śniadania w stołówce „Mirus“, wyszedłem z pracy. Po przejściu ogrodu klinicznego, gdy znajdowałem się na Placu Grunwaldzkim, z dala zobaczyłem olbrzymi wóz-budę, podobny do wozu cyrkowego, stojący opodal Mostu Grunwaldzkiego, w pobliżu ul. Marii Curie-Skłodowskiej. Przystanąłem, a oparłszy się o szkielet leżącego motoru zniszczonego niemieckiego samolotu, zastanawiałem się, co to może być. Czyżby cyrk przyjechał do Wrocławia. Ale skąd — z Niemiec nie, z Polski po co. Tych kilkaset wówczas mieszkających we Wrocławiu Polaków zajętych cały dzień swoją prawdziwie pionierską pracą, nie potrzebowało cyrku. Przejęty ciekawością poszedłem w kierunku tego cudu. Gdy doszedłem na miejsce, oczom swoim nie chciałem wierzyć, przede mną stał wielkich rozmiarów autobus, prawdziwy autobus, oszklony, z wygodnymi siedzeniami. Szeroka, biało-czerwona wstęga przepasana po obu stronach frontu autobusu oznaczała, że to już polska komunikacja rozpoczęła swoje czynności we Wrocławiu. Zająłem miejsce w autobusie — miejsce, które przez 5 i pół roku było dla mnie jako dla Polaka zabronione. Wraz ze mną jechało 6 osób, nie było jeszcze tyłu Polaków, aby mogli zająć wszystkie miejsca, zaś Niemcy nie mieli odwagi wchodzić do wnętrza autobusu.

Jechaliśmy przez Most Grunwaldzki, Aleją Słowackiego, koło Poczty, przez oczyszczone już Podwale Świdnickie koło pomnika Wilhelma, który w galowym mundurze wojskowym dumnie jeszcze siedział na koniu otoczony pogruchotanymi orłami pruskimi i przed gmach Zarządu Miejskiego przy Pl. Wolności.

Dzisiejszy mieszkaniec Wrocławia nie wyobraża sobie, jakim dobrodziejstwem była taka komunikacja autobusowa dla pracowników polskich, łącząca odległy Plac Grunwaldzki z śródmieściem, gdzie za 1 złotego w przeciągu kilkunastu minut jednych dowiozła do samego miejsca pracy, a innym skróciła drogę.

W kilka dni później zobaczyłem drugie „cudo“. Idąc ul. Roberta Kocha, usłyszałem dźwięk dzwonka tramwajowego. Przyspieszyłem kroku, a wchodząc na ul. Curie-Skłodowskiej zobaczyłem toczący się od mostu Zwierzynieckiego wóz tramwajowy, oznaczony cyfrą „1“. Na przystanku odruchowo wskoczyłem do wozu, nie namyślając się gdzie i po co pojedę. Jakże zostałem oczarowany, gdy w wozie spotkałem znanego mi konduktora, który całe lata przewoził mnie we Lwowie z ul. Piotra i Pawła do pl. Cłowego, wozem tramwajowym oznaczonym literami Ł—D (Łyczaków—Dworzec). Ta sama miła, spokojna, uśmiechnięta twarz, nieco bledsza niż przedtem. Zamieniliśmy serdeczny uścisk dłoni, wspominając o przeżytych koszmarnych latach pod hitlerowską okupacją. Ponieważ tramwaj dojeżdżał wówczas tylko do ul. Marszałka Stalina i cofał się z powrotem tą samą trasą na Sępolno, pożegnałem sympatycznego konduktora, wróciłem z powrotem do domu.

Uruchomienie przez Zarząd Miejski chociaż tak skromnej komunikacji autobusowej i tramwajowej było nieocenioną przysługą dla polskich pracowników, którzy kilometrami przebywali pieszo drogę do pracy i z powrotem. Z drugiej zaś strony było wielkim dowodem sprawności polskiego robotnika. Na przejeżdżające wozy autobusowe i tramwajowe zdumieni Niemcy spoglądali z podziwem, nie przypuszczali bowiem, że Polacy w tak krótkim czasie potrafią wyremontować zgruchotane szczątki wozów i uruchomić komunikację miejską.

Dnia 2 sierpnia 1945 r. po raz pierwszy w odzyskanym Wrocławiu zebrali się wszyscy pracujący wówczas drukarze w liczbie 28 osób. Zebranie odbyło się w zecerni drukarni miejskiej przy ul. Wierzbowej 30. Uczestnicy zebrania jednogłośnie uznali po-

trzebę założenia oddziału Związku Zawodowego Drukarzy. Wybrany na tym zgromadzeniu Zarząd, do którego i ja miałem zaszczyt należeć, rozpoczął energiczną choć w bardzo trudnych warunkach pracę. Nie mając własnego lokalu, odbywaliśmy posiedzenia w lokalach różnych drukarni, niejednokrotnie w salach bez szyb i jakiegokolwiek urządzenia. Gmach przy ul. Mazowieckiej, który zajęty został na rzecz Związków Zawodowych świecił jeszcze pustkami, a przez otwory w oknach wiatr urządzał harce. Najpilniejszą więc kwestią było zdobycie lokalu, toteż prezes Związku kol. Wikieł wraz z sekretarzem kol. Trybą niezmiernie pracowali i nad zdobyciem własnego pomieszczenia tak dla potrzeb Związku, jako też i dla pracowników drukarskich, szturmując Zarząd Miejski o przydział obiektu miejskiego. Zarząd Miejski widząc z jaką energią brać drukarska wzięła się do pracy, nie zwlekał i w krótkim stosunkowo czasie Związek otrzymał przydział budynku 4-ro piętrowego frontu i 4-ro piętrowego w oficynach przy ul. Wierzbowej 5. W budynkach tych urządzono biura Związku, oraz otrzymało mieszkania 18 rodzin, nadto zarezerwowano parę pokoi dla przyjeżdżających kolegów na tymczasowe pomieszczenia. Te pomieszczenia należycie spełniły swoje zadanie. Dziesiątki kolegów a niekiedy i całe rodziny znalazły tutaj pierwsze schronienie.

Posiedzenia Zarządu i zebrania koleżeńskie odbywały się już we własnym lokalu. Ponieważ oba budynki tak jak wszystkie budynki wrocławskie były częściowo uszkodzone, Związek postanowił jak najszybciej przeprowadzić remont oraz z dwóch dużych sal sklepowych urządził salę świetlicową. W niedługim czasie zwołany został w Gnieźnie XIII ogólnopolski Zjazd Drukarzy, na który Zarząd wysłał dwóch delegatów. Na zjeździe tym Związek wrocławski uznany został jako Okręg Związku Zawodowego Pracowników Przemysłu Poligraficznego na cały Dolny Śląsk. Zarząd Związku stanął przed bardzo ważnymi zadaniami zorganizowania oddziałów w miastach dolnośląskich, gdzie znajdowały się większe skupiska pracowników poligraficznych. Nie była to tak łatwa sprawa jakby się zdawało, brak funduszy i bardzo ciężkie warunki komunikacyjne utrudniały wykonanie zadania, ale kol. Tryba pokonywał te trudności i razem z kolegami doprowadził do tego, że w niedługim stosunkowo czasie wszyscy pracownicy zakładów drukarskich znajdujących się na terenie Dolnego Śląska znaleźli się w naszych szeregach.

Dnia 2 września 1945 r. otrzymałem wraz z rodziną z Zarządu Miejskiego przydział na mieszkanie mieszczące się przy ul. Traugutta oraz z I. Obwodu Miejskiego przydział mebli. Łatwiej jednak było otrzymać przydział na meble, aniżeli przewieźć takowe z „Zimpla“ (Sępólno) na ul. Traugutta. Nie było kim i czym to uskutecznić. I tu znów córka podjęła akcję w tym kierunku i po całodziennym łożeniu, znalazła gdzieś w pobliżu Psiego Pola Niemca, który z jednym koniem nędznie wyglądającym i wozem podjął się przewieźć ten przydział. Rozpoczęliśmy pracę tę o godz. 6-tej rano. Dostaliśmy ze Straży Klinik Uniwersyteckich jednego studenta, który z karabinem na ramieniu jeździł z nami, aby nam w ciągu drogi jaki „śmiałek“ nie „zdekompletował“ tego mienia.

Tego dnia pożegnaliśmy się z naszymi sympatycznymi i gościnnymi przyjaciółmi w „Mirusie“, a o godz. 8-ej wieczorem byliśmy gotowi z przywózką. Teraz rozpoczęła się prawdziwie domowa robota. Mieszkanie znajdujące się na pierwszym piętrze było obszerne, a nawet jak na owe czasy komfortowe, bo posiadało wodę i światło elektryczne, a co najważniejsze naprzeciw korytarza zajął podobne mieszkanie również Polak. Byliśmy zadowoleni, bo przecież 2 rodziny polskie w jednym domu stanowiło już do pewnego stopnia bezpieczeństwo, gdyż w tych czasach, kiedy tylko słońce zgasiło swoje promienie, rozpoczynała się hulanka różnego rodzaju maruderów i mętów społecznych, czujących się bezkarnymi, bo stosunkowo szczupłe jeszcze wówczas kadry Milicji Obywatelskiej nie były w możności opanować anormalnych warunków życia w ogromnym opustoszałym zrujnowanym mieście. Mieszkanie tak jak wszędzie we Wrocławiu, nie posiadało ani jednej szyby w oknach. Było brak zamknięć, brak trzech schodów pomiędzy parterem a piętrem, no i naturalnie dziura w dachu nad klatką schodową, na szczęście niewielka. Wiedząc już, jakie szkody wyrządza w razie deszczu spadająca woda, postanowiliśmy własnym kosztem zaraz dach naprawić. Trudność wielka była z oknami z powodu wielkiego zapotrzebowania na szkło okienne, a bardzo małej jego dostawy, dopiero z końcem roku okna szczyły się swoją przeźroczystą taflą. W kilka dni po zadośćuczynieniu obowiązkowi meldunkowemu, zostałem prawomocnym mieszkańcem i obywatelem miasta Wrocławia.

Dnia 6 września zgłosił się u mnie w drukarni posłaniec z listem, w którym Zarząd Drukarni Miejskiej prosił o wypożyczenie wyrazu „HALKA“ czcionkami o wysokości 20—25 cm, systemu gru-

tego t. zw. blokowego. Przypuszczałem na co potrzebuje tych czcionek, gdyż będąc jeszcze w Krakowie czytałem w marcu 1945 r. w prasie krakowskiej wzmiankę o przygotowywaniu się grupy artystów scen polskich, która z dyr. Stanisławem Drabikiem na czele miała wyjechać do Wrocławia. Artyści polscy doskonale pojmowali swoje zadanie, że winni dążyć wspólną drogą z tymi, którzy rozpoczęli odbudowę Ziemi Odzyskanych.

Chętnie wypożyczyłem żądane czcionki, a drugiego dnia ukazały się rozplakatowane we wszystkich częściach miasta wielkie ogłoszenia, głoszące o mającej się odbyć dnia 8 września 1945 r. premierze polskiej opery „Halka“ St. Moniuszki.

W niezapomnianym dniu 8 września 1945 r. przed rozpoczęciem przedstawienia dyr. Stanisław Drabik wygłosił do obecnej w teatrze publiczności przemówienie, w którym między innymi powiedział:

„W odradzającej się z gruzów Ojczyźnie pragniemy stworzyć podwaliny naszej kultury teatralnej również na Zachodnich Kresach Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Polskiej. Nie bacząc na tysiączne trudności i przeszkody, przychodzimy do was z pieśnią polską, by przetrwać tu z wami na zawsze“.

Ze stojącego wśród rumowisk przypadkowo ocalałego gmachu opery przy ul. Stalingradzkiej popłynął dnia 8 września 1945 r. Hymn Narodowy. Zabrzmiały głosy pieśni polskiej i tony muzyki polskiej, głosząc przez Polskie Radio całemu światu, że tu we Wrocławiu żyje mowa polska, pieśń polska i muzyka polska, że oprócz pracy nie zapominamy o kulturze. Nie da się opisać jak wielkie wzruszenie przeżyli widzowie pierwszej polskiej opery we Wrocławiu. Niejednemu słuchającemu pieśni i muzyki polskiej, popłynęła łza radości, nie znikając z oczu do końca przedstawienia, a przepelniona widownia publicznością polską, która aby się dostać do gmachu opery przebyła po kilka kilometrów pieszo ciemnymi ulicami miasta, dała dowód wdzięczności polskim artystom za ich rozpoczętą ofiarną pracę w naszym mieście.

Dnia 10 września wspólnie z ob. Zimnym pojechałem wypożyczonym z Uniwersyteckiego Biura Transportowego autem ciężarowym na obecny Rakowiec do mieszczącego się tamże warsztatu naprawy maszyn drukarskich firmy „Engels“ po odbiór wyremontowanego linotypu, przydzielonego drukarni przez Centr. Zarząd Państw. Zakładów Graficznych. Była to maszyna zecerska nowszego systemu niemieckiego z dwoma magazynami, klawiaturą

niemiecką, bez wkładek, klinów i bez jakichkolwiek części zapasowych. Zabraliśmy ten cenny nabytek, linotyp bowiem jako maszyna zecerska po przeróbce i uruchomieniu gwarantowała rozpoczęcie druku książki polskiej, tym bardziej, że ręcznych czcionek z polskimi akcentami drukarnia posiadała tylko minimalną ilość.

Po zmontowaniu przez sprowadzonego z Łodzi montera, przerobieniu magazynów i tastra na alfabet polski, uzupełnieniu wkładek i klinów, zakupieniu matryc z polskimi akcentami, zainstalowaniu światła i siły napędowej, wyłoniła się dość poważna trudność. Nie mieliśmy między sobą pracownika składacza-linotypisty; kilku Niemców linotypistów oraz paru Polaków znajdujących się we Wrocławiu, zajęty drukarnie mające od początku linotypy w swym posiadaniu, zaś linotypiści Polacy z terenów centralnych polskich nie kwapili się wówczas do pracy na Ziemi Odzyskane. Ja jako składacz ręczny, znający wprawdzie trochę pracę linotypową, nie mogłem siedzieć za tastrem linotypu, praca moja szła w innym kierunku, zwłaszcza, że Rektorat Uniwersytetu zaczął nadsyłać nam pilne zamówienia na druki potrzebne mu tak do urzędowania wewnętrznego, jako też do mających się rozpocząć wpisów studenckich. Znalazłem jednak między pracownikami niemieckimi składacza znającego pracę linotypową i przy pomocy mojej po kilkunastu dniach ćwiczenia na polskim tastrze, rozpoczął układ linotypowy.

Pierwszy rękopis książki polskiej na układ linotypowy przysłał nam dr Antoni Knot, dyrektor Biblioteki Uniwersyteckiej. Była to praca prof. Henryka Barycza pod tytułem: „Rola Polaków w Uniwersytecie Wrocławskim“. Całą powyższą pracę objętości 2 ark. druku składał z moją pomocą niemiecki linotypista.

Drugą pracę również na układ linotypowy przysłał prof. dr Tadeusz Mikulski. Był to „Kwartalnik Literacki“ zeszyt 1—2, rocznik XXXVI w objętości 16 $\frac{1}{4}$ ark.: wydawany przez Towarzystwo Literackie im. A. Mickiewicza, które to Towarzystwo rozpoczęło już swoje prace we Wrocławiu. Pracę tę składał już polski linotypista.

Z trzecią pracą, może najtrudniejszą dla nas przybył osobiście prof. dr Jerzy Kowalski w towarzystwie dr Bilińskiego. Bardzo ucieszyłem się obecnością osoby prof. Jerzego Kowalskiego w drukarni, znając go osobiście ze Lwowa, a przyniesione do druku czasopismo „E O S“ nie było mi obce; drukowałem go bowiem

przedtem we Lwowie. Układ zecerski „Eosu“ przedstawiał dla nas wielką trudność. Czasopismo to zamieszczało obszerne cytaty garmondem i petitem w języku greckim, zaś Drukarnia Uniwersytetu i Politechniki, jak również żadna inna drukarnia we Wrocławiu nie posiadała czcionek greckich. I tu prof. Jerzy Kowalski przyszedł nam z prawdziwie obywatelską pomocą. Porozumiał się z mieszkającym w Warszawie prof. Jerzym Manteufflem, który w imieniu Polskiego Towarzystwa Filologicznego zamówił w odlewni firmy Idzikowski w Warszawie odpowiednią ilość czcionek greckich, pokrywając koszty odlewu funduszami Towarzystwa Filologicznego i zezwalając, aby koszty te ściągnęło Towarzystwo z rachunku drukarni dopiero po wykonaniu i dostarczeniu czasopisma „Eos“. W ten łatwy sposób drukarnia weszła w posiadanie czcionek greckich.

Zniknęła również trudność układu polskiego na linotypie. Ponaglany o natychmiastowy przyjazd syn mój opuścił Lwów i w początkach października 1945 r. wraz z całą swoją rodziną przybył do Wrocławia i objął pracę w drukarni jako linotypista, zaś poduczony składacz niemiecki opuścił Wrocław i wyjechał na stały pobyt do swojej ojczyzny.

Z początkiem listopada dostaliśmy z Rektoratu Uniwersytetu przydział niewielkiej ilości szkła okiennego, toteż zaraz poleciliśmy oszkląć najpotrzebniejsze okna, tj. częściowo w zecerni ręcznej i linotypowej, maszynowni, introligatorni i w biurze drukarni jedno okno. W następnych pozostały nadal deski i dykty.

Dnia 14 listopada nastąpiło w Uniwersytecie i Politechnice otwarcie roku akademickiego i rozpoczęcie wykładów. Drukarnia mając już prócz Niemców dwu składaczy polskich, dostarczała druków dla Uniwersytetu, Politechniki, Biblioteki Uniwersyteckiej, Klinik Uniwersyteckich oraz dla tworzących się na terenie Wrocławia Towarzystw o charakterze naukowym. Maszyny obsługiwane przez jednego Polaka i dwu Niemców pracowały pełny 8-godzinny czas pracy. Introligatornia doprowadzona do stanu produkcji pod nadzorem polskiego pracownika pracowała normalnie. Nowoprzyjęty stereotyper Polak, przy pomocy sił niemieckich wydobywał z gruzów maszyny i części tychże służące do odlewów stereotypowych.

Magazyn papieru uporządkowany, zinwentaryzowany i objęty kartoteką, przejęty został przez Państwową Gospodarkę Papierem we Wrocławiu.

Z początkiem grudnia otrzymałem z Rektoratu Uniwersytetu polecenie, abym Niemców pragnących wyjechać do swojej ojczyzny bez przeszkód zwalniał, zastępując ich siłami polskimi. Po porozumieniu się ze Związkiem Zawodowym, zgłaszający się pracownicy polscy byli przyjmowani i zajmowali miejsca pracowników niemieckich, opuszczających Wrocław.

Rozpoczął się rok 1946, kalendarzowo drugi rok pracy we Wrocławiu. 1 stycznia o godz. 12-tej w południe wraz z kol. Wikłem, jako przewodniczącym Związku Zawodowego Drukarzy udaliśmy się do gmachu Urzędu Wojewódzkiego, składając imieniem Związku za pośrednictwem Wojewody życzenia noworoczne Prezydentowi Państwa i Członkom Rządu R. P. w Warszawie.

W pierwszych dniach stycznia zachorował nam składacz ręczny kol. Franciszek Piotrowski, repatriant ze Lwowa, a przewieziony na leczenie do Klinik Uniwersyteckich, zmarł 7 stycznia. Nie posiadał jeszcze swojej rodziny we Wrocławiu, więc pogrzebem zajęli się pracownicy drukarni, zaś koszty połączone z pogrzebem pokryła kasa drukarni. Nad otwartą mogiłą przemówił kol. Wikieł, żegnając pierwszego zmarłego drukarza Polaka w odzyskanym Wrocławiu.

Bardzo przykrą i dokuczliwą była dla nas pracowników drukarni zima roku 1945/46. Nieczynne centralne ogrzewanie, brak pieców, brak opału, okna nieszczelnie pozabijane deskami, pojedyncze z kawałków powprawiane częściowo szyby, mury przemokłe wodą przed naprawą dachu, to też wkradające się z zewnątrz zimowe powietrze powodowało dokuczliwe zimno, które tamowało pracę. Aby nie dopuścić do wstrzymania z tak wielkim trudem rozpoczętej pracy, ściągaliśmy z pobliskich zburzonych domów walające się piece żelazne, a z zasypanych piwnic wydobywaliśmy znajdujący się tamże koks. Tym sposobem ogrzewaliśmy najpotrzebniejsze ubikacje jak zecernię i maszynownię, a z upragnieniem oczekiwaliśmy nadejścia wiosny, która na szczęście bardzo wcześnie w tym roku rozpoczęła się.

Przyszedł 1 maja, pierwszy w wolnym Wrocławiu. Święto to obchodziliśmy bardzo uroczyście. Już o godz. 8-iej rano rzesze pracowników zdążyły na Plac Wolności, a w godzinę później wszyscy Polacy zamieszkali tak w mieście jak i na przedmieściach zjawili się na Placu, aby wysłuchać przemówień przedstawicieli Władz Państwowych, Partij Politycznych i Związków Zawodowych.

W godzinach popołudniowych odbywały się zawody sportowe oraz zabawy towarzyskie w poszczególnych zakładach pracy.

Dnia 15 maja 1946 r. zwiększył się nasz polski personel o jedną osobę. Przyjechał ze Lwowa kol. Mackford Edward, a objąwszy naczelne kierownictwo drukarni, rozpoczął wspólnie z nami dalszą pracę nad jej rozwojem. Jego pełna poświęcenia praca, której nigdy nie szczędził, przyczyniła się między innymi do wyposażenia zecerni ręcznej w kroje czcionek z polskimi akcentami, w znaki matematyczne, chemiczne itp. Dzięki jego staraniom drukarnia posiada obecnie własną cynkografię. Nie zważając na porę dnia jeździł do Warszawy, Poznania czy Łodzi, pilnując i przynaglając wykonanie zamówionych czcionek. Dalsze miesiące 1946 r. były czasem przełomowym w składzie personelu drukarni. Wzmógł się napływ repatriantów zza Bugu, a szczególnie ze Lwowa, dał możliwość zwolnienia wszystkich pracowników niemieckich zastępując ich pracownikami polskimi. Przyjęci pracownicy polscy, zwłaszcza składacze ręczni, linotypowi i maszyniści drukarscy byli przedtem pracownikami pierwszorzędnych zakładów graficznych we Lwowie.

Rok 1947 rozpoczął się wprawdzie dokuczliwą zimą, ale nie ulękliśmy się jej. Działo już bowiem centralne ogrzewanie naprawione przynajmniej częściowo. Piece żelazne stały we wszystkich użytkowych ubikacjach, a znajdujący się w piwnicach węgiel i koks zakupiony w miesiącach letnich, dawał rękojmię, że marznąć już tej zimy przy pracy nie będziemy.

Już w początkach wiosny cała zecernia ręczna została przeniesiona na I piętro do nowooszlonej, obszernej i wygodnej sali. Przeniesienie zecerni było konieczne ze względów zdrowotnych dla pracowników.

Wybrana w początkach marca 1947 r. przez pracowników drukarni pierwsza Rada Zakładowa w osobach kol. kol. Kania Jan, Drewniak Stanisław i Bogacz Józef rozpoczęła swe urzędowanie, a odbywszy posiedzenie dnia 15 marca uznała, że pierwszym zadaniem Rady będzie urządzenie świetlicy dla pracowników, co też nastąpiło w krótkim czasie, gdyż już 11 kwietnia 1947 r. odbyło się w lokalu własnej świetlicy tradycyjne „święcone“, urządzone staraniem Zarządu drukarni i Rady Zakładowej dla pracowników drukarni.

Dzień 1 maja — święta robotniczego był obchodzony w roku 1947 przez pracowników drukarni jeszcze bardziej uroczyście niż

w roku poprzednim. Dnia 1-go maja już od godz. 8-ej pracownicy zbierali się w drukarni, skąd częściowo pieszo udali się do Związku Zawodowego przy ul. Wierzbowej. Dołączyli się do zebranych tam kolegów ze wszystkich wrocławskich zakładów graficznych, poczem udali się do Hali Ludowej, na zgromadzenie ogólne. Po wysłuchaniu referatów wzięli udział w wielkim pochodzie przez ulice miasta.

Dzień 22-go czerwca 1947 r. był dniem wielkiego święta wrocławskiego świata drukarskiego. Tego dnia odbyło się uroczyste otwarcie XIV Ogólnopolskiego Zjazdu Drukarzy w sali Państwowego Teatru Dolnośląskiego przy współudziale Filharmonii Wrocławskiej, a w części artystycznej uroczystości wystąpił po raz pierwszy Chór Drukarzy Wrocławskich. Po skończonej uroczystości odbył się wspólny obiad koleżeński w salach hotelu „Polonia“, zaś w dniu następnym w pięknie udekorowanej sali tegoż hotelu odbywały się obrady Zjazdu.

Dnia 1 lipca otrzymałem jednomiesięczny urlop wypoczynkowy, aby podratować zdrowie; za poradą lekarza wyjechałem w celu leczenia się do miejsca kąpielowego Solice-Zdrój, położonego w dolinie Gór Wałbrzyskich. Piękna była podróż równinami śląskimi do stacji Jaworzyna Śląska, ale jeszcze piękniejsza okolica mi podgóorskimi do Wałbrzycha, po czym tramwajem przez Biały Kamień do Solic-Zdroju.

Poza zabiegami leczniczymi i popijaniem tych prawdziwie zdrowie dających wód kruszcowych, spacerowałem codziennie po wielkim i wspaniałym parku zdrojowym, spacerowałem tymi cieniastymi alejami, po których dawniej chodzili różni baronowie niemieccy, a którymi dzisiaj chodzą nasi robotnicy i górnicy polscy — przyjeżdżający tutaj na wczasy wypoczynkowe i lecznicze. Widziałem kuracjuszy rekrutujących się z różnych zawodów, siedzących na ławkach pod kwitnącymi królewskimi kwiatami magnolii, azalii i rododendronów — wchłaniających w siebie balsamiczną woń tych kwiatów. Robiłem wycieczki na szczyt góry Chełmiec (840 m n. p. m.), do zamku książąt Pszczyńskich w Księżnie, na Wzgórze Gedymina. Zwiedziłem kopalnię w Białym Kamieniu, koksownię i hutę szkła w Wałbrzychu, zapoznając się z pracą i życiem pracowników zatrudnionych w górnictwie.

Szybciej niż przypuszczałem przeszedł miesiąc wypoczynku i zabierając się do odjazdu z żalem żegnałem te krystaliczne źródła „Mieszko“ i „Dąbrówkę“ z postanowieniem, że w przyszłym

roku również będę mógł chodzić po parku Solic-Zdroju i słuchać rozchodzących się po nim tonów orkiestry zdrojowej.

Rok 1948 rozpoczął się już pracą normalną. Drukarnia wypuszczała spod swych pras książki nie tylko dla Wrocławia, ale również drukowała prace naukowe dla Warszawy, Łodzi, Krakowa i Lublina.

W roku tym pracownicy drukarni przeżywali chwile obfitujące w bogactwo różnego rodzaju uroczystości, tak koleżeńskie jak również o charakterze ogólnorobotniczym.

Dnia 24 stycznia staraniem Zarządu drukarni i Rady Zakładowej urządzono dla pracowników wspólny opłatek we własnej świetlicy. W uroczystości tej wzięli udział wszyscy pracownicy drukarni oraz zaproszeni goście. Po złożeniu sobie wzajemnych życzeń odbyła się zabawa towarzyska.

Wspaniałą i niezapomnianą uroczystość jubileuszową sprawił Zarząd drukarni i Rada Zakładowa dnia 17 kwietnia 1948 roku dla trzech swoich pracowników z okazji ich 50-letniej pracy zawodowej. Z uroczystości tej „Wiadomości Graficzne“ wychodzące w Warszawie, w nr 5 z maja 1948 r. zamieściły następującą korespondencję z Wrocławia:

„Jubileusz 50-lecia pracy zawodowej w Drukarni Uniwersytetu i Politechniki we Wrocławiu“. W dniu 17 kwietnia 1948 r. w Drukarni Uniwersytetu i Politechniki we Wrocławiu odbyła się uroczystość 50-lecia pracy zawodowej kol. Gawłowskiego Zygmunta, kol. Kani Wojciecha i kol. Zamulińskiego Mariana. Uroczystość zaszczylicili swoją obecnością J. M. Rektor Uniwersytetu i Politechniki prof. dr Stanisław Kulczyński, Rada Nadzorcza Drukarni Uniw. i Polit. w osobach prof. Żychiewicza Emila, prof. dr Knastera Bronisława i prof. dr Olszewicza Bolesława oraz zaproszeni goście: prof. Skrętowicz, mgr. Varanka, Dyrektor Państw. Wrocł. Zakł. Graficznych Okręg Południe ob. Kubała, przedstawiciele Związku Zawod. Prac. Przem. Poligraficznego — przewodniczący kol. Szczucki, sekretarz kol. Tryba i inni.

Przy słowach „Marsza Drukarzy“ odśpiewanego przez Chór Zw. Zaw. Pr. Przem. Poligraf. weszli do świetlicy Jubilaci w towarzystwie J. M. Rektora Uniwersytetu i Politechniki Wrocł., Rady Nadzorczej, Dyrekcji i Rady Zakładowej, powitani przez zebranych kolegów — pracowników drukarni.

Po zagajeniu uroczystości i krótkim przemówieniu Dyr. Mackforda Edwarda, zebrani odśpiewali Hymn Państwowy po czym do

Jubilatów i zebranych uczestników uroczystości przemówił Rektor Uniwersytetu i Politechniki prof. dr Stanisław Kulczyński, podkreślając, że gdy w roku 1945 organizował przy Uniwersytecie Wrocławskim drukarnię, oparł się wyłącznie na wiedzy wytrawnych fachowców, którzy mieli poza sobą dziesiątki lat pracy w zawodzie drukarskim. Z kolei zabrał głos przewodniczący Rady Nadzorczej prof. Zychniewicz, wręczając Jubilatom dyplomy łącznie z prezentami.

Następnie prof. dr Knaster w imieniu Polskiego Towarzystwa Matematycznego złożył Jubilatom życzenia, ofiarowując im upominki.

Długiego życia i dalszej owocnej pracy w zawodzie życzył Jubilatom w imieniu pracowników drukarni przewodniczący Rady Zakładowej kol. Kania Jan. Przewodniczący Zw. Zaw. Prac. Przem. Poligraf. kol. Szczucki przedstawił zestawiony cyfrowo wysiłek 50-letniej pracy Jubilatów ilością złożonych czcionek w ciągu tych lat pracy.

Na wzniesiony toast na cześć Jubilatów chór odśpiewał pieśń „Cześć Pracy“, a kol. Lauda zadeklamował wiersz St. Szczęściwicza pt. „Pierwszym Organizatorom“.

Wzruszeni Jubilaci w serdecznych słowach podziękowali Rektorowi i Gościom za zaszczytowanie swoją obecnością uroczystości, a Radzie Nadzorczej, Dyrekcji, Radzie Zakładowej i pracownikom za urządzoną im tak wspaniałą uroczystość.

Następnie odbyła się część artystyczna, przeplatana punktami wokalnymi, w których udział brali: Chór Zw. Zaw. Prac. Przem. Poligraf. pod kierownictwem ob. Władysława Brodzinowskiego oraz kol. Lauda, kol. Herman i koleżanka Byzdra. W bardzo miłym nastroju uroczystość przeciągnęła się do późnych godzin wieczornych“.

Korespondencję powyższą przesłał do „Wiad. Graficznych“ członek Rady Zakładowej kol. St. Drewniak.

Niezapomnianą będzie dla wrocławskiego świata pracy wiosna 1948 r. Z wiosną tą rozpoczęto budować najwspanialsze wspólne dzieło pracy robotnika i inżyniera-architekta.

Na wielkich zieleńcach mieszczących się obok ulic Wróblewskiego i Olszewskiego zawalonych różnego rodzaju pozostałym po ostatniej wojnie żelaziwem, zaczęła się realizacja myśli tworzenia wielkiej Wystawy Ziem Odzyskanych, wystawy — która miała dać świadectwo pokojowej pracy milionów ludzi, która miała

być historycznym dokumentem prawdy o przynależności Ziemi Odzyskanych do narodu polskiego.

Trzy lata pracował na Ziemiach Odzyskanych robotnik, rolnik, rzemieślnik, mechanik, malarz, rzeźbiarz, architekt, technik, inżynier, urzędnik, doktor, profesor, a w dodatku składał ciężko zapracowany grosz na premię pożyczkę odbudowy kraju, składał na Daninę Narodową. Otwarta w lipcu 1948 r. Wystawa Ziemi Odzyskanych pokazem swych eksponatów i wykresów potwierdziła, że ta praca nie poszła na marne.

Setki i tysiące ludzi z kraju i zagranicy, którzy zwiedzili pawilony WZO przekonały się, że zaludniliśmy i zagospodarowaliśmy Ziemię Odzyskaną. Wystawa ta pokazała rozrastający się nasz dobrobyt i siłę gospodarczą Państwa.

Praca w drukarni szła z wyjątkową siłą. Był to rok, w którym winniśmy zdać rachunek z pracy wykonanej od czerwca 1945 r. do 15 grudnia 1948 r. winniśmy podsumować nasze wysiłki z okazji Kongresu Zjednoczeniowego Partji Robotniczych.

Nie będę robił szczegółowych wyliczeń. Podam tylko pobieżne zestawienie naszych prac. Gdy bowiem w roku 1945 objęliśmy zabudowania drukarni zniszczone, bez dachu, bez okien, bez szyb, bez drzwi, z dojściem po gruzach, to obecnie zabudowania te znajdują się w stanie kompletnego odremontowania, oszklone, ze szczelnie naprawionym dachem, doprowadzone w całości do stanu używania. Zostały zburzone niebezpieczne stropy frontowego budynku oraz bocznych zabudowań, usunięto gruz, stwarzając tym samym i wygodne przejście i przejazd do zabudowań drukarni.

Zawalona gruzami i odpadkami szkła zecernia ręczna została oczyszczona, wyciągnięta z cuchnących zakamarków, pomieszczona obecnie w frontowych jasnych i przestronnych salach drugiego piętra. W miejsce starych regałów i kaszt zecerskich stanęły nowe, dostosowane do rozkładu alfabetu polskiego. Gdy bowiem w r. 1945 mieliśmy tylko bardzo szczupłą ilość czcionek z polskimi akcentami, to dzisiaj posiadamy prócz wielkiej ilości różnego rodzaju czcionek z polskimi akcentami, także czcionki niemal wszystkich języków światowych oraz znaki do prac naukowych na wszystkie Wydziały Uniwersyteckie.

Maszyny zecerskie uzupełniono linotypem nowszego systemu, wyposażone zostały w szereg gatunków matryc z polskimi akcentami, a sprowadzona z Anglii najnowocześniejszego systemu ma-

szyna zecerska monotyp, uzupełnia je, zaspakajając w zupełności zapotrzebowania układów maszynowo zecerskich.

Odczyszczono, wyremontowano i uzupełniono maszyny i automaty drukarskie, przeprowadzono kompletnie nowe instalacje przewodów elektrycznych, wymieniono nowe silniki napędowe, odczyszczono i uruchomiono stereotypię i przelewnię ołowiu lino-typowego, wyremontowano maszyny introligatorskie, uzupełniając takowe najgłówniejszymi maszynami jak maszyną do falcowania arkuszy, maszyną do szycia książek drutem na organtynie i nićmi oraz wielkich rozmiarów maszyną do krajania papieru, poszerzając 3-krotnie dotychczasowe pomieszczenia introligatori. Urządzono własną cynkografię (kliszarnię), która oprócz zapotrzebowań własnych, dostarcza klisz również innym drukarniom miejscowym i pozamiejscowym.

Naprawiono rury wodociągowe i centralne ogrzewanie, poszerzono biura drukarni, poszerzono i przeniesiono magazyn papieru dla wygodniejszego dostępu do ubikacji parterowych, a co najważniejsze, personel niemiecki zastąpiono wysoko wykwalifikowanym personelem polskim. Toteż prace naukowe wychodzące spod pras Drukarni Uniwersytetu i Politechniki we Wrocławiu, wysyłane są nie tylko do wszystkich krajów europejskich, ale również do Ameryki Północnej i Południowej, do Azji i Afryki.

W roku 1948 rozpoczęła się nowa karta w historii polskiej klasy robotniczej. W dniu 15 grudnia tegoż roku miał się zebrać w auli Politechniki Warszawskiej Kongres Zjednoczeniowy Polskiej Partii Robotniczej i Polskiej Partii Socjalistycznej. Z okazji tego zjednoczenia pracownicy Drukarni Uniwersytetu i Politechniki zebrani w dniu 4 grudnia 1948 r. pragnąc uczcić zjednoczenie się tych dwu partii powzięli uchwałę następującej treści:

„Doceniając w pełni historyczne znaczenie zjednoczenia się przodujących partii robotniczych, w uznaniu ich zasług w odbudowie Ludowej Polski, pracownicy Drukarni Uniwersytetu i Politechniki we Wrocławiu postanawiają uczcić ten moment przez wzmoczenie wysiłków w normalnym czasie pracy, udoskonalenie organizacji i usprawnienie pracy, a przez to osiągnięcie w najkrótszym czasie jak najlepszych wyników. Równocześnie postanawiają odpracować dobrowolnie 2 godziny nadprogramowo, z czego dochód przeznaczają dla niezamożnej studiującej młodzieży akademickiej we Wrocławiu“.

Zegnając wspólnie ze światem pracy miasta Wrocławia odjeżdżających delegatów na Kongres Zjednoczeniowy do Warszawy, byliśmy przeświadczeni, że zobowiązania nasze od r. 1945 wypełniliśmy z godnością polskiego drukarza.

W dniu 15 grudnia 1948 r. wszyscy pracownicy drukarni wstrzymali pracę o godzinie 10-tej rano, udając się do świetlicy celem wysłuchania uroczystego otwarcia Kongresu Zjednoczeniowego obu Partii. Po przemówieniu okolicznościowym wygłoszonym przez kol. Edwarda Mackforda, zebrani wysłuchali przemówień transmitowanych przez Polskie Radio z auli Politechniki Warszawskiej i po odśpiewaniu pieśni „Cześć Pracy“ powrócili o godz. 12-tej do swych zajęć. Po zakończeniu pracy staraniem Rady Nadzorczej, Zarządu Drukarni i Rady Zakładowej urządzona była w świetlicy wspólna zabawa dla pracowników, na której bawiono się do późnego wieczora.

Od przyjeżdżających do Wrocławia osób tak z Polski centralnej jak z zagranicy, bardzo często miłe dla ucha słyszy się słowa podziwu i pochwały o szybkości odbudowującego się miasta, o uruchomieniu zniszczonych fabryk i warsztatów pracy, o sprawnej komunikacji miejskiej, o wielkim rozroście tętna życia mieszkańców miasta. Biorąc rzecz obiektywnie jest w tym wielka zasługa tych jednostek, które na rzucone w maju 1945 r. hasło „na zachód“ pierwsze pospieszyły, by ze zgliszc i gruzów wrocławskich wyciągnąć przyszłe życie. Ludzie ci swoim zapałem pociągnęli za sobą setki, a później tysiące nowych rąk do pracy i gdy dzisiaj myślą cofnę się do pierwszej połowy roku 1945, to przyznać muszę, że nie mogę ukryć zdziwienia, bowiem jako drukarz pracowałem nie tylko w różnych miejscowościach położonych w kraju, ale również poza granicami państwa polskiego, jak w Czechach, Austrii, jednak nigdy i nigdzie nie było nawet do pomyslenia, aby czy to pracownik fizyczny czy umysłowy rozpoczął pracę przedtem zanim się dowiedział, a względnie umówił o wysokość zapłaty za tę pracę.

We Wrocławiu w roku 1945 było inaczej. Żaden pracownik polski nie pytał o zapłatę. Każdy ochoczo pracował nie bacząc na ilość godzin, otrzymując w zamian talerz zupy i kromkę razowego chleba.

Widzę tę szczupłych rozmiarów salę stołówek uniwersyteckiej mieszczącą się wówczas w gmachu obecnej Biblioteki Uniwersyteckiej przy ul. Karola Szajnochy, za wspólnym stołem siedzących

zwykłego robotnika, woźnego, wyuczonego fachowca, studenta, magistra, doktora, profesora. Widzę ówczesnego Delegata Min. Oświaty, późniejszego Rektora Uniwersytetu i Politechniki prof. dr Stanisława Kulczyńskiego, który stojąc oparty o ramę okienną oczekuje na wolne miejsce za stołem, by zjeść tę ze wspólnego kotła grochówkę. Stojąc patrzył na te rzesze swoich pracowników grupy naukowej, wiedział dobrze, że za stołem siedzą ci, którzy przyjechali do Wrocławia nie tworzyć prywatę, ale przyjechali po to, aby wspólnie z nim tworzyć wielki gmach nauki polskiej — gmach, którego rozgłos rozniesie się po całym świecie naukowym.

Nie zabrakło w tej grupie i drukarza. Szedł w pierwszej linii do Wrocławia szybkimi krokami, a gdy przeszedł roгатkę wrocławską, zwolnił kroku, usunął przeszkody z zawałonych gruzów, odnalazł maszyny drukarskie i w drugim dniu po objęciu miasta przez władze polskie, mimo braku światła, wody i siły popędowej, wydrukował obwieszczenia w języku polskim, głoszące, że miasto Wrocław pozostaje już pod polskim rządem.

Szedł wzorem swojego kolegi poprzednika, bo gdy bowiem około 1475 roku pierwszy drukarz przyszedł do Wrocławia niosąc czcionkę w worku na plecach, by drukować polską książkę, to w roku 1945 przyszedł drukarz, aby tę czcionkę wygrzebać z gruzów i drukować tutaj nową, polską książkę.

Ale nie tylko grupę oświatową ogarnął ten niepowstrzymany żar do pracy. Grupa pracowników miejskich przezwyciężyła olbrzymie trudności starając się, żeby jak najszybciej zabłysła lampa elektryczna i gazowa, ażeby jak najprędzej kran wodociągu rozpoczął swoją czynność, ażeby jak najprędzej uruchomić tramwaje i autobusy miejskie. Grupa Państwowej Fabryki Wagonów łamiąc wszelkie trudności starała się, aby jak najprędzej wypuścić pierwszy wagon z fabryki przez siebie odgruzowanej i doprowadzonej do stanu produkcji. Grupa kolejarzy dokonywała wprost „cudów“, aby jak najprędzej mógł przybyć na dworzec wrocławski pierwszy polski pociąg. Grupa spółdzielcza pracowała niezmordowanie dniem i nocą, aby zaprowiantować błyskawicznie rozrastające się miasto.

Dziś nie wszyscy już pamiętamy te wrocławskie dni pracy, kiedy chodziło się jeszcze z biało-czerwonymi opaskami na ramieniu, kiedy każdy przybyły Polak był tak mile widziany, kiedy mieszkało się gdzie można i jak można, kiedy jadło się tylko z jednego, wspólnego kociołka.

Z tych to pierwszych wrocławskich dni pracy narodził się dzisiejszy potężny, pulsujący wielkomiejskim życiem polski Wrocław. Historyk czy kronikarz, kreślący historię rodzącego się z gruzów anno 1945 polskiego Wrocławia, nakreśli, że ci którzy pionierską pracę włożyli w te narodziny, byli pierwszymi rzeczywistymi przodownikami pracy we Wrocławiu.

Wolny czas po pracy zawodowej z wielką przyjemnością spędzam, pracując w ogródku działkowym, przydzielonym mi w roku 1945 przez pierwszy Obwód Zarządu Miejskiego. Ogródek ten znajdujący się obok Parku Ludowego otrzymałem w stanie wielkiego zniszczenia, spowodowanego przez rozmieszczone tam formacje wojsk niemieckich w czasie walk o Wrocław. Drzewa owocowe były połamane i pokaleczone od pocisków armatnich, krzewy zdewastowane, porobiono rowy i wykopy na schrony wojskowe, porzrzucone wszelkiego rodzaju materiały wybuchowe i zniszczone ogrodzenie, wszystko przedstawiało nędzny i odstraszący widok. Nie zraziłem się tym jego stanem i wczesną wiosną 1946 r. rozpocząłem uporządkowanie, naprawienie ogrodzenia, zasypywanie rowów i wykopów, zabezpieczenie drzew owocowych przed zniszczeniem i usunięcie niebezpiecznych materiałów wybuchowych. Dużo było z tym pracy. Wszystkie wolne godziny popołudniowe, świąteczne i niedzielne poświęciłem pracy na działce, ale w nagrodę za to ogródek mój przedstawia dzisiaj wspaniały dla oka widok. Mam w nim różnego rodzaju kwiaty, mam jabłonie, grusze, śliwy, czereśnie, brzoskwinie i morele. Mam winorośle, porzeczki, maliny i agresty. Uprawiam tak bardzo wskazane dla zdrowia, a obfitujące w witaminy jarzyny domowe.

I gdy pięknego sierpniowego wieczoru siedząc w altance ocienionej gronowymi liśćmi, wpatrzony w błękit nieba, wchłaniając czyste kryształowe powietrze, podziwiam zwinne pokrzywki uprawiające swój ptasi sport po gałęziach drzew, przechodzeń idących aleją pomyśli: — ten sobie sielankę uprawia — odpowiem mu: nie — to nie sielanka, to zasłużony odpoczynek po wytężonej pracy.